Numery okazowe. Kraków, 20 Stycznia i 5 Lutego 1893 r. Rok III.

609 | 81 | 2

Wychodzi
5 i 20 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi
w Krakowie:

rocznie . . 7 złr. 20 cnt.
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie — „ 60 „

Za odnoszenie do domu
dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Numer pojedynczy
kosztuje 30 cnt.

Rękopismów drobnych
nie zwraca się.



Prenumerata
na prowincyi i w całej
Monarchii Austro-Węgierskiej
wynosi:

rocznie . . 8 złr. — ct.,
kwart. . . 2 złr. — ct.

W Niemczech:
rocznie . . . . 16 m.,
półrocznie . . . 8 m.,
kwartał. . . . 4 m.

We Francyi:
rocznie 20 franków,
kwartalnie 5 fran.

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „Myśli" po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny, ilustrowany.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy **ul. św. Gertrudy L. 2**, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie: we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

OD WYDAWNICTWA.

Powołując się na nasz prospekt, umieszczony w ostatnim numerze drugiego rocznika „Myśli" i na naszą dwuletnią, wśród najcięższych warunków, pracę około stworzenia niezawisłego organu literacko-społecznego w Galicyi — uważamy za zbyteczne ponawiać zapowiedzi tego, co zrobić zamierzamy dla wszechstronnego rozwoju i podniesienia „Myśli" w trzecim roku istnienia pisma.

Zmieniona szata zewnętrzna „Myśli" jest tylko pierwszym krokiem naprzód na drodze dalszych reform, jakie stopniowo wprowadzać pragniemy.

Opóźnienie numerów okazowych zechcą niewątpliwie uwzględnić nasi Sz. Prenumeratorowie, zwłaszcza, że nastąpiło ono, wskutek utrudnionego i nader kosztownego komunikowania się z pozakrajowemi zakładami reprodukcyjnemi, z któremi musieliśmy dopiero nawiązać stosunki.

„Myśl" nie jest w szczęśliwem położeniu rozmaitych „Kunst Blattów", które nawet w Galicyi cieszą się uznaniem... brzęczącem w formie subwencyj z polskiego grosza.

Wydawnictwo nasze opieramy jedynie i wyłącznie na abonentach, których liczba decydować będzie o dalszem istnieniu i rozwoju „Myśli".

Odwołujemy się zatem do inteligentnego ogółu z prośbą, aby nie szczędził nam swego poparcia zarówno przez zapisywanie się na listę przedpłacicieli, jak i zalecanie naszego pisma w szerokich kołach znajomych.

Roczni i półroczni przedpłaciciele nasi otrzymają bezpłatne premja, które stanowić będą „Bibliotekę Myśli", wartością swą znacznie przewyższającą uiszczoną prenumeratę.

P. S. Upraszamy o prędkie nadsyłanie przekazów wprost do administracyi dla uniknięcia przerwy w odbieraniu pisma naszego, które od 20 b.m. roześlemy jedynie abonentom.

W STULETNIĄ ROCZNICĘ.

Sto lat niewoli, sto lat kajdan, sto lat szamotania się nadludzkiego z tyraństwem, cały szereg upustów krwi serdecznej, świętej i ofiarnej, morze łez wylanych i tysiące sił najlepszych, unicestwionych dla społeczeństwa przez gwałtowne przeniesienie ich w niemożliwe warunki bytu, w lody sybirskie i ciężkie stosunki emigracyjne, wreszcie cały łańcuch drobniejszych lub większych usiłowań tak szlachetnych jednostek, jak i ciał zbiorowych zapewnienia jaśniejszej przyszłości ojczyźnie przez wzmocnienie jej soków żywotnych — oto mniej więcej tło obrazu, losy społeczeństwa polskiego w okresie ostatniego stulecia przedstawiającego.

Nic dziwnego, że dzisiaj w 100-letniej rocznicę strasznego dziejowego kataklizmu, przeszło przez patryotyczne społeczeństwo polskie jęk, niby iskra elektryczna, streszczający się w haśle: „Żałoba narodowa!" Hasło to brzmiało już w powietrzu nie raz, nie dwa i nie trzy. Po każdem większem wstrząśnieniu narodowem, gdzie kraj opłakiwał tysiące ofiar w młodzieży i mężach, przywdziewaliśmy żałobę i kir leżał na miastach i siołach polskich. Działo się to jednak bez nawoływań dzienników, bez przymusu, nawet moralnego, niemal bez agitacyi.

Nazwała nas też Europa „Wielkim Narodem w żałobie", a jak, po wypadkach 27 lutego wyglądała wonczas Warszawa, znajdujemy opis tego wierny w dziele Berga, pisarza, którego o stronniczość dla żywiołu polskiego chyba pomawiać nie można*).

Jak obchodzono żałobę narodową w całym kraju, pamięć tego wszak świeża i starsze pokolenie czynnym było jej świadkiem.

Tak też było po r. 1831, kiedy to powstał, malujący dosadnie nastrój społeczeństwa naszego, prześliczny wiersz Gaszyńskiego: „Czarna sukienka", tak i w latach 1846 i 1848, po słynnej rzezi galicyjskiej i epoce rewolucyjnej, po której zapełniły się ojcami naszymi więzienia Kufsteinu i Ołomuńca.

Jednakowoż i w tych epokach, gdzie żałobę powszechną wywołały świeże wypadki i zapach mordu i pożogi unosił się jeszcze w powietrzu, nie brakło gorliwych apostołów szału i zabawy. Wszak podczas żywej sekcyi, odbywającej się podczas smutnej pamięci Sejmu grodzieńskiego, na ciele Rzeczypospolitej, magnackie domy wykręcały menuetowe piruety i biły lansierowe pokłony, topiąc w szampańskiem głos odzywającego się jeszcze sumienia narodowego. Wszak, podczas najszlachetniejszych wysiłków konfederackich ratowania rozszarpywanej Ojczyzny, Warszawa z królem na czele tonęła w rozpuście. W r. 1847, pod pokrywką zabaw dla dzieci urządzano we Lwowie huczne bale**). A w r. 1853 nie brakło też przykładów, że wyłamywano się z pod obowiązku ogólnej żałoby narodowej.

Dzisiaj, w stuletnią rocznicę morderstwa politycznego na Ojczyźnie naszej dokonanego, pewnie że oddawać się zabawie i weselu nie czas. Raczej garnąć się do kupy, wzmacniać podstawowe siły narodowe, uczyć się i uczyć drugich pracy rzetelnej i mozolnej, i rozmyślać, jakiemi drogami dążyć nam należy do odrodzenia się zupełnego i osiągnięcia tego celu, który każdemu Polakowi, jeżeli czuje się prawym synem Ojczyzny, powinien leżeć na sercu.

Usprawiedliwiamy poniekąd stanowisko pism, które stanęły po stronie tej części społeczeństwa, która twierdzi, iż narodowi żyjącemu, rozwijającemu się i składającemu ustawicznie dowody sił żywotnych, nie przystoi szata żałobna, ale o tyle, o ile stanowisko ich jest wynikiem obawy klęsk ekonomicznych, na

*) Z pod zaboru rosyjskiego. Poznań, 1893.

**) Z epoki tej zachował się ulotny wierszyk, który krążył po Lwowie w licznych odpisach:

„Kto wyprawia kinderbale
Na których tańczą dragale
I dzieci, które mają dzieci,
Temu kamień w szybkę leci
A gdy to nie pomoże,
Leci kamień w łeb — nieboże".

jakie ewentualnie byłoby narażone nasze kupiectwo i przemysł zastanowieniem tego ruchu zwyczajnego, dającego im podnietę, ruch i życie. Kto się chce bawić, niech mu tych złudnych chwil szczęścia nie truje wisząca nad nami zmora żałobna. Przyjdzie czas, iż się ocknie i zapyta swego sumienia, czy pora to na zabawę stosowna, a dawszy sobie odpowiedź zedwojoną energią weźmie się do znoszenia cegieł na gmach narodowy. Dla niezdających sobie żadnej sprawy z położenia, w jakiem się znajdujemy, przytoczyć należy następujący ustęp z listów Tadeusza Racławickiego do „Dzien. Pozn.:“

„Mróz po kościach przechodzi; czujemy, że jest bardzo źle, daleko gorzej, niż było w r. 1864, 66, 68, 70. 81, 83, i w następnych latach do r. 1890 — ale wiemy, że wypadnie skrwawioną stopą dotykać jeszcze różnych, głębszych i okropniejszych szczebli, zanim o ostateczną zapamiętały wróg pokusi się zagładę...

...Widmo rozpaczy zawisło nad społeczeństwem. I cóż z nami będzie? — Czyż zagłada, zapowiedziana przez rząd rosyjski bratniemu narodowi ma się naprawdę urzeczywistnić? Czyż opinia europejska ze spokojem i obojętnością przyglądać się dalej będzie temu strasznemu obrazowi okrucieństwa i dzikości? Jeśli tępienie polonizmu i znęcanie się nad bezbronnymi dłużej potrwa, to chyba nam rozpacz krańcowa zacznie dyktować program działania — głód i nędza nie znają prawa... A wówczas dziać się mogą rzeczy, które i okrutnemu zwycięzcy nie będą na rękę“...

Kto ma ochotę tańczyć — niech tańczy.

St. B.

ROTMISTRZ JACEK CHOLEWA.

I.

Na Starem Mieście, koło Pijarów,
Gdzie hymny Bogu lud wierny śpiewa,
Mieszka inwalid z pod trzech sztandarów:
Ułański rotmistrz, Jacek Cholewa.

Jacek Cholewa, rotmistrz ułański,
Dziad, co na ciele blizn ma z dwadzieście,
Wiódł po obozach żywot cygański,
A dziś rej wodzi na Starem Mieście.

Miejski Matuzal, miejskie pacholę
Na wylot znają Cholewę Jacka:
Wąs zawiesisty, krycha na czole,
Mina wesoła i zawadyacka.

On na balikach tańczy najszczerzej,
On w starej ławie najhuczniej śpiewa —
Gdzie od dzisiejszej odstał młodzieży,
Ułański rotmistrz, Jacek Cholewa.

II.

Gdzie błysła buntu zorza wspaniała,
Gdzie zrywał naród łańcuch tyrański,
Tam się za wolność krew polska lała
I był tam Jacek, rotmistrz ułański.

Jak tylu innych, co w potach giną,
Lub na żer wiatrom dali swe prochy,
Bił się za Polskę, za swą jedyną,
Bił się za Węgry, bił się za Włochy.

Wiodła Cholewę swobody nuta
Taka czarowna, taka junacka, —
Walczył z Chłopickim, słuchał Kossuta
I Garibaldi znał pana Jacka.

O, warto w boju nałożyć głową,
By reszta braci wskrzesła szczęśliwa! —
Wolność! O, złote, potężne słowo!
Wolność!... Niech żyje! Elien! Evviva!...

III.

W prastarym domu, koło Pijarów,
Po nabożeństwie w świątyni Pańskiej,
Zbiera kamratów z pod trzech sztandarów
Jacek Cholewa, rotmistrz ułański.

Ze starych źrenic skrzy zapał szczery,
Z ust mknie, jak piosnka za słowem słowo —
Gwarzą hułany i grenadyery
W świętą rocznicę listopadową.

Rzucanych losem na obce brzegi,
Niesionych burzą jak liście z drzewa,
Znałyż ich, znały sybirskie śniegi,
Konstantynopol, Paryż, Genewa.

Tam wzrok wyg[illegible]
Zali z Ojczyzny [illegible]
Zerwał kajdany [illegible]pióry
I ponad Polską błysnęło słońce!...

IV.

Zawsze pan Jacek był kawalerem —
„Żona? Dzieciaki?... Dyabli mu potem!...“
Dobrze mu było z siwym ogierem,
Z szablą ułańską, z białym namiotem.

Dumne Węgierki, ogniste Włoszki
Rotmistrz Cholewa badał ciekawie:
Tu kochał troszki i tutaj troszki,
Ale naprawdę — to raz — w Warszawie.

Anielskie serce biło w jej łonie!
Cudnaż to była mieszczańska dziewa!
Tak, jak przed świętą w złotej koronie,
Korzył się przed nią rotmistrz Cholewa.

Z rozciętem pletnią kozacką czołem
W sybirskich śniegach w grób ją złożono —
I jest dziś w górze białym aniołem,
Co się za Polskę modli skrwawioną...

V.

Pan Jacek mówi: „Krew, cośmy lali,
Nie jest straconą, ni zmarnowaną:
Z niej się narodzą pułki mściciele
Na odkupienia jutrznię różaną.

My zmrok gasili swą krwią czerwoną,
Myśmy dla obcych budzili słońce —
Ockną się ludy i wstydem spłoną,
Że w więzach giną ich praw obrońce.

Ale, gdy z grobu ma powstać Ona,
Wprzód własne winy zmazać nam trzeba
I zapomnianych objąć w ramiona
I dać im światła i dać im chleba.

Wyszlachetnieni w latach ofiary
My się nad życia wznieśmy zawiłość,
I niech się złocą polskie sztandary
Godłem Chrystusa: „równość i miłość“...

VI.

Na Starem Mieście koło Pijarów,
Gdzie hymny Bogu lud wierny śpiewa,
Siedzi inwalid z pod trzech sztandarów:
Ułański rotmistrz, Jacek Cholewa.

Gaśnie krąg słońca bladszy a bladszy,
(A kiedyż własny świt nasz obaczym?)
Na Stare Miasto Bóg z nieba patrzy
I błogosławi sercom prostaczym.

W okienkach Jacka światło migota,
Uliczna gwara wrze i omdlewa,
Ułański rotmistrz wąs siwy mota
I ulubioną piosenkę śpiewa.

PARTYA SZACHÓW

powieść

przez WALERYĘ SOLECKĄ.

I.

W małym saloniku, zastawionym wypłowiałemi staroświeckiemi meblami, pani baronowa Zenobia, z słodziutkim uśmiechem na ustach, wyprostowana i sztywna, jakby przyjmowała najetykietalniejszych gości, — siedziała na ogromnej kanapie i poważnie chłodziła się wachlarzem.

Była sama, lecz widocznie oczekiwała jakiejś osoby, bo z niecierpliwością spoglądała na drzwi, a nawet ulubiony pincz nie zwracał dziś jej uwagi, chociaż trącał ją różowym pyszczkiem, wstrząsał swymi, mlecznobiałymi jedwabistymi kudłami i lizał jej rękę.

Odtrąciła go z gniewem i z gracyą chłodziła się dalej wachlarzem a uśmiechała się, nie chcąc utracić nic ze swej pozy, tak pełnej elegancyi, godności i dystynkcyi.

Mimo otwartych okien, w mieszkaniu tem, położonem na trzeciem piętrze przy jednej z najludniejszych ulic Warszawy, tropikalny panował upał. Pąsowe, jedwabne firanki, popękane miejscami i przeświecające blado żółtymi plamami, przepuszczały zaledwie kilka promieni czerwonego słońca, a na tém tle ciemno czerwoném twarz pani Zenobii wydawała się jeszcze bledszą i chudszą.

Twarz pani Zenobii, podobnie jak meble jej saloniku, świeciła resztkami dawnej piękności; starła się z niej świeża barwa młodości, również jak złoto i emalia z poręczy kanap i krzeseł à la Louis XIV, zarysowały ją liczne zmarszczki, starannie pudrem i różem ukrywane, a jednak zbyt ostre, aby je było można ukryć, jak niepodobna było przysłonić wszystkich plam, szczerb, łat i strzępów na adamaszkach, dywanach, ramach obrazów i serwskich wazonach, w których wegetowały nędzne jakieś rośliny o liściach na pół zżółkłych. Twarzy tej, zniszczonej wiekiem a może i cierpieniem, pozostały jednak rysy delikatne, i oczy przejrzyste jak kryształ, jasnoniebieskie, a patrzące dumnie i z pewną zaciętością z pod wysokiego czoła, okolonego blond... peruką.

Oczy te świeciły ostrym blaskiem i patrzały dumnie, jak z wysokości królewskiego tronu, mówiąc wyraźnie, że mimo niefortunnej zmiany losu, pani Zenobia nie przestała być wielką damą, wyniesioną ponad cały tłum pracujący, zapylony, kłopoczący się o codzienny kawałek chleba — podobnie jak szczyt gotyckiej wieżycy, sterczący wysoko ponad dachy okolicznych domów.

Córka zubożałej szlacheckiej rodziny, cudem prawie, dzięki piękności swej, zrobić zdołała świetną — jak mówiono — partyę, zaślubiając w dwudziestym roku życia podżyłego lecz bogatego barona. W obec sióstr swych, z których jedna została żoną urzędnika, a druga dzierżawcy, pani Zenobia była uosobieniem fortuny, świetnością, chwałą, zaszczyt[illegible]stwem rodzinnem.

Czy była w pożyciu małżeńskiem szczęśliwą? — Zdziwiłaby się niezmiernie, gdyby ją kto o to zapytał. Nie zastanawiała się nad tem nigdy, jak w ogóle nie myślała o tem, aby istnieć mogło inne szczęście nad posiadanie majątku i tytułu. Uważała za swój obowiązek święty przechować wiernie i z godnością imię utytułowanego małżonka, bez względu na to, że wkrótce znudzony pięk[illegible] żoną, baron powrócił do dawnych kawalerskich obyczajów i hulanek.

Może cierpiała kiedy — może — [illegible] skłonna do poetycznych uniesień, pr[illegible] i chłodno zreasumowawszy wszystkie [illegible] i przeciw — zdołała się jakoś pocie[illegible]. Pod koronkowym stanikiem nie ta[illegible] serce boli — pomyślała, przypomin[illegible]

Po biednych staneyach słuchają dzieci
Rycerskich gawęd bywałych ludzi,
A cudna piosnka płynie a leci
I w polskich sercach nadzieję budzi:

Jeszcze Polska nie zginęła
Póki my żyjemy!
Co nam obca moc wydarła
Mocą odbierzemy!...«

PIOTR CHMIELOWSKI.

(Kartka z dziejów krytyki polskiej.)



Wszystkim dziedzinom umiejętności zakreśloną jest droga ewolucyi. Dorobki epok ubiegłych i pracy pokoleń minionych łącznie z wynikami badań najnowszych, przebiegających społeczeństwa — składają się na wytworzenie w danej chwili pewnego znamiennego okresu rozkwitu jakiejś gałęzi umiejętności lub odłamu umysłowych badań.

Jak w dziejach rozwoju sztuki po renesansie nastąpił barok, tak w duchowym pochodzie naszego piśmiennictwa po okresie wielkiej poezyi nastąpiła krytyka. Z początku szablonowa i mglista na nieustalonych i czysto indywidualnych poglądach oparta, w miarę krystalizowania się zasad kodeksu estetycznego za granicą, w miarę wpływania ztamtąd opinij ustala się i coraz realniejsze trwalsze przybiera formy. Od bibliograficznych zapisków Bentkowskiego i Jochera począwszy do Wiszniewskiego i Grabowskiego — od Maurycego Mochnackiego do Siemieńskiego i Tyszyńskiego, wreszcie od Małeckiego do czasów dzisiejszych — sporo przewinęło się na niwie krytyki literackiej prądów i opinij, teoryj rozbieżnych i poglądów sprzecznych, że była chwila, kiedy uzasadniona była obawa czy wejdzie krytyka nasza kiedykolwiek na właściwą drogę badań naukowych, opartych na zasadach ustalonej metody.

Obawa okazała się płonną. Ostatni okres naszych dorobków w dziedzinie literackiej krytyki przyniósł plon niezwykle bogaty i pod względem naukowym wartościowy. Od okresów poprzednich wyodrębnił on się przedewszystkiem ścisłą naukową metodą, gruntownością i umiejętnym krytycyzmem, opartym na poszukiwaniu ścisłej i bezwzględnej prawdy. Pracownicy, którzy tej dziedzinie pióro swe poświęcili, zrozumieli że, chcąc opisać naukowo i zaregestrować pod pewną kategoryą objawy ducha i tworczości, należy je przedtem anatomicznie rozebrać, dokładnie rozpoznać i dopiero drogą porównawczych zestawień i racyonalnego na wynikach najnowszej nauki opartego rozumowania wysnuwać sądy i opinie.

Tę drogę należało jednak wskazać, wytyczyć i pierwsze szeregi po niej poprowadzić. Zasługa opisania i utorowania tej drogi należy się Piotrowi Chmielowskiemu. Przed dwudziestu pięciu laty, kiedy niwa krytyki naszej nader jeszcze ubożuchno się przedstawiała, kiedy krytyka tonęła we mgłach frazeologii Tyszyńskiego, Siemieńskiego i Lewestama, rozpoczął on żmudną pracę gromadzenia materyałów do wielkiego wspaniale uplanowanego gmachu ojczystej literatury. Kiedy dziś po upływie tego okresu rozpatrywać przychodzi obfity i wszechstronny a też doniosły pod względem naukowym dorobek Chmielowskiego — trudno zaprzeczyć, że on jest ojcem duchowym tego okresu, przewodnikiem całej falangi badaczy, która nadała wybitny charakter i kierunek całemu okresowi. W tym licznym szeregu nowszych badaczy, on największą sumę dorobku wniósł do literatury. Czternaście tomów dzieł pomnikowych i niezliczona ilość rozpraw i artykułów, którychby starczyło na drugie tyle tomów, złożyło się na ten plon, który z nazwiskiem Piotra Chmielowskiego splata jasny promień niespożytej zasługi.

Nie miejsce w szczupłym szkicu rozpatrywać naukową działalność Chmielowskiego i oceniać doniosłość i znaczenie jej dla nauki i dla literatury. Praca to nieskończona a po uczonym naszym, będącym w pełni sił żywotnych, wiele jeszcze spodziewać się można. Ale godzi się i jest obowiązkiem wdzięczności przypomnić społeczeństwu dwudziestopięcioletnią rocznicę rozpoczęcia tej syzyfowej pracy, ile zawdzięcza usiłowaniom jednego z najwybitniejszych swych uczonych i pisarzy.

Obowiązek tem większy, że w danym wypadku uznanie nie idzie w parze z zasługą. W innem społeczeństwie mąż tej wiedzy, tej pracy, tego co Chmielowski talentu, otoczony aureolą powagi naukowej, obdarzony stanowiskiem, zapewniającem dostatni byt, wiódłby żywot spokojny i bez trosk oddawać by się mógł umiłowanej a tyle pożytecznej swej pracy. U nas zaś jest inaczej. Kiedy cała rzesza młodych badaczy, nie dorastających Chmielowskiemu do pięt wiedzą, talentem i zasługą, zasiada w Akademii, Chmielowski zupełnie nieznanym jest w tej instytucyi. Nic mu to nie szkodzi jednak. Powagę, stanowisko naukowe i uznanie moralne rozdaje cały naród i społeczeństwo a nie garstka wybrańców. Chmielowski we wdzięcznej pamięci i przekonaniu narodu dawno już zasiada na akademickim fotelu, godniej go dzierżąc od wielu patentowanych.

Aby po krótce tylko wskazać najwybitniejsze płodnej Chmielowskiego działalności fazy, wystarczy rzucić okiem na spis bibliograficzny prac jego i chronologiczny ich początek. Pierwsze prace drukowane w latach 1867—9 w »Bibliotece Warszawskiej« a mianowicie: Oceny przekładów klasyków Greckich i Rzymskich, to wynik gruntownego przygotowania klasycznego, osiągniętego w Szkole Głównej. Następuje po tem okres studjów filozoficznych i pedagogicznych, czerpanych w Lipsku a owo

---

rodzinny i prunelowe trzewiczki, własnoręcznie wieczorami zszywane — a możność obcowania z damami wielkiego świata takim to serce napełniała balzamem, że utuliło się i uspokoiło zupełnie. Zadowolenie głupiej próżności i pychy stało się dla niej jedynym wyrazem szczęścia.

Mąż jej umarł nagle, przehulawszy majątek i zdrowie. Z ogólnej ruiny zdołała uratować trochę klejnotów i kilka sprzętów, zdobiących niegdyś świetne jej apartamenta.

Klejnoty sprzedane zapewniły jej na starość zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb życia — meble ustawione w ciasnych pokoikach przedłużały niejako dawną, minioną świetność; nie rozstałaby się z niemi za żadną cenę — mogły się kruszyć i rozpadać w strzępy, były przecież dla jej oka równie piękne i wytworne jak niegdyś, gdy jaśniały krasą nowości — i były, jakby żywe istoty, mówiące jej o przeszłości i składające hołd należny jej w dzisiejszem osamotnieniu.

Zaślepiona w świetnym nimbusie swej przeszłości, znosiła dziś z poddaniem się ubóstwo i głód nawet — przekonana, że bądź co bądź, wyższą jest ponad ludzkie mrowie, a to mocą swego tytułu.

W tej ślimaczej skorupie swego urojenia, czuła się niemal szczęśliwą — nie dochodziły jej ani jęki cierpień ludzkich, ani głos namiętnych pragnień i walk, ani też słodycz ukochania — rozkosze ofiary...

Miała tylko jedno pragnienie — i jedno marzenie; być raz jeszcze w życiu bogatą — choć przez rok jeden, przez dzień jeden odetchnąć ambrozyjską wonią wielkiego świata, za którym tak bardzo tęskniła. Wypchnęło ją stamtąd ubóstwo, gdyż owego świata podwoje otwiera się tylko złotym kluczem, albo pozłacanym...

Nagle zabłysła jej nadzieja ziszczenia tych marzeń — zabłysła tak nagle i niespodzianie, że pani Zenobia wyrwana ze spokoju i ciszy, w której żyła tak długo — stała się nerwową. I w roztargnieniu potrącała ona teraz meble swe ukochane i jedyną przywiązaną istotę — pincza o jedwabistych kędziorach.

. . . .

Zamyślenie pani Zenobii przerwało nagłe szarpnięcie drzwi — wachlarz wypadł jej z chudej ręki, pincz odskoczył, skomląc żałośnie; z portyery oddarł się długi kawał wypłowiałego adamaszku i chwiał się w promieniu słońca jak pas złoty w ciemnym pokoju... Na ten widok baronowa zerwała się, załamała ręce, lecz w tejże chwili usiadła znowu, słodko się uśmiechając.

Do pokoju wbiegła młoda, ośmnastoletnia dziewczyna, piękna i świeża jak wiosna, w dyademie czerwonozłotego warkocza, z uśmiechem na ustach wykrojonych jak u Tycyanowskiej Venus, z ciemnoszafirowemi oczyma które zdawały się płonąć i oświecać jakimś tajemnym blaskiem mlecznobiałą cerę jej twarzy.

— A, to ty? Elizo!..

— Ja, ciociu, jak widzisz, to ja! — Upadła prawie na krzesło, zmęczona, oddychając szybko; rzuciła niedbale jasną parasolkę i słomkowy biały kapelusz z strusiemi piórami.

Potem zerwała się, pocałowała ciotkę w rękę, przysunęła jej stołeczek pod nogi i znowu usiadła z głową przechyloną w tył i przymkniętemi oczyma.

— Cóż ci to, dziecko?

— Zmęczonam, okropnie zmęczonam! — mówiła z wolna — co za upał! tyle sprawunków... byłam w dwudziestu magazynach, co najmniej zrobiłam ośmnaście pięter... O! zmęczonam... dobrze, że się to jutro skończy, dobrze, o! dobrze... ciągnęła śpiewnie, jakby chciała ukryć niepokój, rozdrażnienie. — Dobrze... ach! dobrze! la, la, la, la! Jakżem wesoła!

— Kupiłaś nowy kapelusz? zapytała Zenobia.

— Tak — odrzekła niedbale panna, roz-

cem tychże prace: »Geneza fantazyi« »Über die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens« Artyści i artyzm« Co wychowanie z dziecka zrobić może« i w. i. Wionęły w owym czasie z zagranicy a mianowicie: z Francyi i Niemiec prądy nowe, wolnomyślne, zwane pozytywistycznemi. Wycisnęły one piętno na wszystkich dziedzinach umiejętności, młodzież chwytała je żywo a organa młodej prasy jak »Przegląd tygodniowy« «Niwa« i »Opiekun domowy« stały się rozsadnikami nowego ruchu. Pierwsze Chmielowskiego wystąpienie na ów czas właśnie przypadają. Wspólnie z Al. Świętochowskim i Jul. Ochorowiczem należał on do głównych działaczy ruchu pozytywistycznego młodej prasy warszawskiej. Poświęciwszy się krytyce literackiej rozważniej jednak postępował od swych towarzyszy pracy i nie przeceniając znaczenia ruchu, prędzej ostygł dla skrajnych haseł. Obrawszy sobie Hipolita Taine, a za pierwowzór naukowej metody badania literackiego, uzupełniwszy tę metodę własnemi paragrafami, opartemi o grunt ojczystych stosunków, rozpoczął naukową pracę, której plon tak szybko z roku na rok rosnący, utwierdził zasługę i sławę Chmielowskiego.

Od barwnej książki: »O kobietach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego« do dzieł pomnikowych o Mickiewiczu i Kraszewskim o Autorkach polskich, lub »Zarysu literatury z ostatnich lat 20« odskok niemały i w metodzie i w krystalizowaniu sądu i w umiejętności zgrupowania i oświetlenia faktów. Systematyczna i nieustająca praca, której najnowszemi wynikami będą przygotowywane studya nad estetyczno-krytycznemi pracami Mickiewicza i wielkie opracowanie historyi literatury polskiej, więcej zdziałała od pracy falangi młodych, wyświetlających drobne fakta a nie panujących tak wszechwładnie nad całym obszarem historyi literatury jak Chmielowski.

Praca literacka choć tak obfita i tak skuteczna, jest tylko cząstką naukowej działalności Chmielowskiego. Od roku 1880 jest on redaktorem »Ateneum« i Biblioteki naj. utworów lit. europejskiej, gdzie pomieszcza wyborowe przekłady arcydzieł obcego piśmiennictwa. Wiedzę i pracę uczonego uczcił i uznał nawet rząd moskiewski, powołując go na katedrę historyi literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim. Śmierć cesarza Aleksandra II. zmieniła warunki, i kiedy Chmielowskiemu kazano wykładać literaturę polską po rosyjsku, tenże z posady zrezygnował.

Fakt ten, jako świadectwo szlachectwa duszy i charakteru, miłości ojczyzny i zaparcia się ambitnych aspiracyj — jest jednym powodem więcej do wyrażenia znakomitemu uczonemu uznania i wdzięczności ze strony polskiego społeczeństwa. Wyrazem tegoż był piękny hołd jubileuszowy, złożony Chmielowskiemu, jako pierwszemu polskiemu krytykowi, ze wszystkich dzielnic Polski w dniu 18 grudnia z. r.

W.

Z Cyklu: „Formy."

Rondeletto.

Gwiaździe podobne jest serce człowieka,
Jak ona — ogniem goreje wewnętrznym,
Jako na gwiazdę — śmierć na niego czeka
Pod lodowatem milczeniem miesięcznem.

Syt chleba myśli i miłości mleka,
Zdobisz swe życie hymnem słodkodźwięcznym:
Gwiaździe podobne jest serce człowieka,
Jak ona — ogniem goreje wewnętrznym.

Lecz, gdy w niem zgaśnie ta płomienna rzeka,
Gwiazda i człowiek uśnie snem niewdzięcznym.
Aż ich na nowo blaskiem wielotęcznym
Słońc nowych era wskrzesi niedaleka:
Gwiaździe podobne jest serce człowieka.

A. Lange.

LEGENDA.

Za górami, za morzami... daleko we mgle... leżał kraj, na który po złotych dniach wielkości i chwały przyszły czasy gniewu Bożego. Straszno, okropnie było w tej krainie. Tam ziemia drżała bólem hańby swojej, a duchy ludzkie szarpały się w męce niby potępione anioły. Tam starcy schodzili ze świata z posępnym żalem niespełnionych marzeń, matki wypłakiwały oczy za poginionemi dziećmi, młodzieńcy tłukli głową o mur i z potrzaskaną czaszką, rozpaczą obłąkani, padali bluźniąc. Tam dziewice wyciągały dłonie do szczęścia, wyciągały napróżno i w szale niezziszczonych snów swoich konały; tam dzieci nawet drobnemi rączkami przecinały pasmo dni swoich, wiedząc że przed niemi nadziei, ani przyszłości nie ma. A cały ten lud modlitwą straszną, skarg i przekleństw pełną wołał do Boga o prawo do życia, o szczęście dawne, o przeszłość swoją wielką!

Ale Bóg słuchał z kamiennem obliczem i ulgi nie zsełał.

Między ludem tym żył wieszcz o duszy czystej i pełnej miłości.

W księżycowe noce, srebrzystem światłem miesiąca oblany błagał on Stwórcę o miłosierdzie nad ludem męczenników, a źrenice jego płakały krwawemi łzami.

— Spełnić się musi co postanowione — mówił Przedwieczny — męka od nich odjętą nie będzie.

Wtedy wieszcz zginał się przed wolą Pańską, ale zaraz powstawał i żebrał.

— Więc kiedy szczęścia wrócić im nie zechcesz, Panie daj im odpocznienie na chwilę. Niech uśmierzy się ból ich ran, niech tęsknić i pragnąć przestaną!

— Pozwalam — powiedział Pan.

Wziął tedy wieszcz lirę swą zaczarowaną i chodził z nią od wioski do wioski, a gdzie stanął otaczały go tłumy braci jego.

On grał, a lud słuchał pieśni cichej jak szmer, łagodnej jak sen dziecka, słodkiej jak matki uśmiechy. — I o dziwo! Od tonów tych rozjaśniały się starców pomarszczone czoła, gasł ogień gorączki w źrenicach młodzieńców, łagodniały gorzkie uśmiechy dziewic, cichły rozpacze opuszczonych matek.

Błogosławieństwo odpoczynku, pogoda bezwiedzy występowała im na lica. Naród usypiał...

Wziął mu wieszcz pamięć i tęsknotę przeszłości, wziął siłę pragnień szalonych, a dał mu spokój i ciszę snu.

---

pinając stanik u szyi i gniotąc przepyszną różę, przypiętą u kołnierzyka.

— Co robisz, Elizo! róża pana Brunona! Zachowujesz się jak pensyonarka — powinnaś mieć więcej względów — przyzwoitość nawet wymaga, aby...

— Paryski — przerwała panna, skubiąc różę, której listki rozsypały się po fałdach jasnej jej sukni i po wytartym dywanie, jak płatki złota — kapelusik paryski, prawdziwe cacko, rubli trzydzieści, to niewiele. Zważ, ciociu, jaki szyk! ten maleńki bukiecik werbeny, a na nim muszka. Ta muszka jest prześliczna! nigdy nie widziałam nic podobnie ładnego. —

— Trochę to wszystko za ekscentryczne, szepnęła ciotka.

— Kto? ja? — zapytała Eliza, wstając i przesuwając ręką po czole, by je ochłodzić.

— Kapelusz —

— A, kapelusz! — powtórzyła roztargniona, widocznie myśląc o czem innem. Mój Boże! to trwa tak krótko, przeleci jak ptak..

— Co? — rzekła ciotka, nie mogąc zrozumieć, po co istnienie paryskiego kapelusza porównywać do lotu ptaka — zechciej jednak przyznać, że taki kapelusz a la Rembrandt, czy jak wy to nazywacie, za ekscentryczny jest i nie dość distingué jak dla małżonki pana Brunona Zaorskiego. Twój narzeczony nie ma wprawdzie tytułu...

Eliza wybuchnęła śmiechem.

Pani Zenobia żachnęła się, marszcząc brwi uczernione korkiem.

— Zapewne, córka urzędnika z małego miasteczka, nie zrozumie tego nigdy, co jest prawdziwa godność, co urodzenie wysokie. Ojciec twój był chamem...

— Ciotko! — zawołała dziewczyna, a na jej twarz wystąpiły silne rumieńce.

Na szczęście otwarły się drzwi, oddarty strzęp portyery zachwiał się gwałtownie i trzy młode panny wpadły do pokoju w sam czas, aby przerwać tę niemiłą scenę.

Jasne ich suknie, słomkowe kapelusze, młode świeże twarzyczki, napełniły posępny pokój takim urokiem, jakby weń kto nasypał cały kosz kwiatów wiosennych.

— Jutro twój ślub!? — zawołały prawie razem wszystkie trzy, ściskając i całując Elizę.

— Więc to jutro? Już jutro? Czy doprawdy?

— Tak — odpowiedziała dziewczyna.

I nic nam nie mówiłaś? nie, zdradziłaś się ani słówkiem! Skryta jesteś, Elizo! Niedobra z ciebie przyjaciółka!

— Dowiedziałam się o tem z Kurjerka...

— A ja od pana Alfreda, który jest kurjerkiem chodzącym —

I sprawiały niezmierny hałas, śmiały się i ściskały Elizę.

— Stało się to tak prędko — zaczęła zakłopotana — i dla mnie to prawie równą jest jak dla was niespodzianką! Zresztą od tygodnia jestem w Warszawie — tyle zajęć, sprawunków, wyprawa, choć jaka taka, ale i to zabiera czasu tyle, że głowę się traci. Lecz nie gniewajcie się...

— Nie, nie! i owszem przyszłyśmy ci szczęścia winszować...

I znowu zaczęły się ściskać całować, uśmiechać.

Ciotka Zenobia zatykała uszy obu rękoma, nie mogąc znieść tego hałasu, wreszcie majestatycznym krokiem pokój opuściła.

Panny, pozostawszy same, biegały pośród porozstawianych mebelków, zaglądając w każdy kąt saloniku, ku wielkiej radości pincza, który wtórował ich śmiechom radosnem szczekaniem. Ciągnęły go za białe, jedwabiste kudły i za różowe uszka — przeskakiwać musiał przez parasolki i kapelusiki, okryte pękami delikatnych kwiatów i wstążek — i dostawał klapsy, ile razy zgniótł kokardę lub pączki.

(D. c. n.)

swej rasy, ale on przełamać się nie dał. Po tylu wysiłkach, po takiej wrzawie, cóż zyskali? Oto zaledwie szczupłe grono wyznawców, w którem więcej prawie jest autorów, aniżeli czytelników. Zrazu walczono przeciw niemu, obecnie nawet i walka ustała, a miejsce jej zajęła pogardliwa obojętność. Jeśli i dzisiaj jeszcze „młodzi" niemieccy szermują— to jedynie z wiatrakami, płodami własnej fantazyi.

Niemało zresztą zawinili oni sami. Przejąwszy się ideą francuzkiego realizmu, nie zdołali jej należycie adoptować dla własnych swych stosunków. Zamiast nagiąć się nieco do pojęć publiczności niemieckiej, chcieli ją sterrozyzować. Przytem, z właściwą istotnie młodym zapalczywością, szli w zapędach swoich za daleko, napięli nową strunę aż do stopnia, w którym musiała pęknąć. Chcieli od razu zburzyć wszystko, co wzniósł powolny wiekowy rozwój myśli niemieckiej, ale cios odbił się i w nich ugodził. Już z tego widać, że mieli więcej zapału, niż zdolności,— i w istocie obóz ich nie może pochlubić się ani jednym do tego stopnia wybitnym umysłem, iżby w walce o nowe hasła potrafił należycie spełnić zadanie wodza. Nie brak tam talentów, ale brak genialności, a tylko ona wiedzie do zwycięstw. Prowodyr „młodych", chluba niemieckiego realizmu, Karol Breibtreu, nie sprostał swemu zadaniu. Byłby on dobrym kandydatem na naczelnika partyzantów, ale o prowadzeniu regularnej wojny niema pojęcia. Czasem czyni po prostu wrażenie szaleńca, tak dziwacznie się miota, rozsrożony bez potrzeby, lub znów nieobecny na polu walki w rozstrzygającej chwili. Wszechstronność, jaką mu przypisują, bynajmniej nie wychodzi Bleibtreuowi na dobre. Geniusze bywają zazwyczaj wszechstronni, ale nie każdy polyhystor jest geniuszem. Nie jest nim stanowczo Bleibtreu. Utalentowany ten pisarz sam kopie grób swym zdolnościom, gdy równocześnie pisze poezye, dramaty, powieści, broszury polityczne, studya filozoficzne, historyczne, strategiczne, no—i reklamy dla samego siebie! W rezultacie nie doszedł on w żadnym z owych działów (wyjąwszy chyba wspomnianą reklamę) do tej doskonałości, jaką uzyskuje się przez wytrwałą pracę na jednem polu. Płodnym jest Bleibtreu niezawodnie, ale w sztuce żądamy *non multa, sed multum.*

Rozpraszanie się na wszystkie strony jest w ogóle charakterystyczną cechą „młodych" niemieckich. Grzech ten ciąży również na autorze, którego książka stanowi punkt wyjścia naszych uwag. Alberti zapowiedział w niej więcej, aniżeli był wstanie dotrzymać. Zebrawszy artykuły swe, pisane w różnych czasach, w jedną całość, zatytułował ją szumnie, tak szumnie, jak gdyby istotnie udało mu się rozwiązać trudny problemat. Obaczymy, że to złuda. Z książki wyziera dużo dobrych chęci, dużo werwy, zapału, ale sposób traktowania jest dyletancki, opiera się raczej na subiektywnych upodobaniach lub antypatyach, niż na podstawie naukowej. Panuje w niej także nieład, urozmaicenie,— kosztem jednolitości. Mimo to jednak, dzieło Albertiego jest jedynym prawie dobitnym i najbardziej wyczerpującym wyrazem nowego realizmu niemieckiego, który jak legendowy Twardowski zawisł w powietrzu i ani żyć pełnią sił swych, ani skonać nie może...

II.

Znane to zarzuty, które czyni Alberti wierzeniom omszałej szkoły estetycznej. Mrzonki o pięknie absolutnem, o idealnem poczuciu jego, o zadowoleniu estetycznem — padły same przez się, odkąd poczęliśmy sztukę uważać za produkt mózgu i nerwów.

Nowa estetyka otrzęsła się z tych błędów. W różnych dziełach sztuki widzi ona ideały i zapatrywania różnych epok, krajów i ras wreszcie. Zadaniem jej—wydobyć z obfitego materyału szereg ideałów typowych i uporządkować długi ich szereg a przez zróżniczkowanie dojść wreszcie do typów i form elementarnych, któreby dały podstawę nowej wiedzy estetycznej. Po mozolnej drodze badań musi ona także dojść do pojęcia ideału dzieła sztuki; zbadać warunki, w których takie dzieło powstaje, i efekt, jaki wywiera. Pojęcia piękna i brzydoty nie istnieją dla niej; zna ona tylko dwa bieguny: artystyczny i z artyzmem sprzeczny. Co się tyczy jej charakteru, to takowy ma wybitne piętno realistyczne.

Niejednokrotnie podnoszono, że realizm ogranicza się wyłącznie do formy zewnętrznej. Alberti wymownie zbija błędne to pojęcie. Pierwotnie—być może—realizm nie miał większych ambicyj nad tę, by rozszerzyć pole sztuki, zbytnio ścieśnione przez klasyków. W istocie też wyszukał nowe, nietknięte terytorya, z upodobaniem obrał najniższe klasy społeczne za przedmiot swych studyów i sięgnął do nauk ścisłych dla dokładnego poznania i przedstawienia rozmaitych stanów duszy ludzkiej, która tak silne obudziła w nim zajęcie. Ale te poszukiwania nowych form i nowych pól sztuki doprowadziły w rezultacie do odmiennych także poglądów na świat i życie; do poglądów, zgodnych zwłaszcza ze zdobyczami nowoczesnej wiedzy przyrodniczej, przed którą realizm ukorzył się dobrowolnie. Obecnie jest on nietylko metodą artystyczną; jest równocześnie kościołem filozoficznym, a przynajmniej sektą, odzwierciedlającą najprawdziwiej i najjaskrawiej ducha naszej doby.

Są to wtzystko rzeczy znane i uznane; podpisze się na nich chętnie każdy, kto zerwał z konserwatyzmem estetycznym. Trudniej już o tak powszechną zgodę na to, co Alberti prawi o geniuszu, ub. prawi w miejscu, wedle nas, niestosownem, przerywając przez to dalsze swe wywody w sprawie, do której wraca później kilkakrotnie. Alberti stworzył sobie zupełnie oryginalne pojęcie o genialności. Z jednej strony odrzuca dawne bajki, wedle których pomiędzy geniuszem a tajemniczą mocą nadziemską ścisły zachodzi stosunek, z drugiej zaś strony protestuje przeciw zapatrywaniom tych fizyologów, którzy w geniuszu widzą pewną formę obłąkania. Autor przeciwnie, genialność uważa jako wykwit zdrowych władz psychicznych i przypisuje jej cechy tak podniosłe, iż o krok dalej, a stanęlibyśmy wśród mgieł metafizyki. Teorya Lombrosa przejmuje go oburzeniem. W pomyśle znakomitego profesora włoskiego widzi Alberti „atawistyczne echo dawno obalonych mniemań", że geniusz jest „boskim szałem". „Ależ (słowa Albertiego), jak można być uczonym tej miary, co Lombroso, i chwytać się uprzedzeń gnuśnie myślącego pospólstwa, z naruszeniem najprostszych prawideł logiki? Wszak pierwszy lepszy gimnazista nie ośmieliłby się twierdzić, że:

$$\frac{\begin{array}{c} A \backsim B \\ B \backsim C \end{array}}{A \;—\; C,}$$

czyli, że geniusz jest obłąkaniem, ponieważ jeden i drugie posiadają pewne podobne objawy". Nie naszą rzeczą bronić Lombrosa, ale dziwimy się porywczości, z jaką młody publicysta i poeta niemiecki zarzuca wytrawnemu badaczowi, jakoby lekkomyślnie igrał z logiką. Lombroso przystąpił do swej pracy po długich i mozolnych studyach; być może, iż wnioski, dobyte przezeń z mnóstwa materyałów, niezawsze są wyższe ponad wszelką wątpliwość; jakże jednak myśleć mamy o teoryi Albertiego, skoro na jej poparcie nic znaleść nie podobna prócz elastycznych frazesów, prócz domysłów, żadnym niepopartych faktem? Z chęcią przyklasnęlibyśmy hypotezie, wedle której geniusz jest właśnie sumą zdrowia duchowego; na razie jednak silniej każdemu trafić musi do przekonania Lombroso, a to z tej prostej przyczyny, że sprawę badał w sposób naukowy i naukowo uzasadnił swe przypuszczenia.

Z kolei zwracamy się do tych wywodów Albertiego, które traktują o pojęciu sztuki nowoczesnej. Spoczywa ona, zdaniem autora, na podstawie panteistycznej, w przypuszczeniu, że istnieje jakaś wielka i pierwotna, zawsze żywa istota, przenikająca wszystko aż do najdrobniejszych cząstek. Jedynym zrozumiałym dla nas wyrazem tej istoty są prawa natury. „Owóż—ciągnie Alberti dalej— sztuka nowożytna dąży do ucieleśnienia objawów, wynikających z praw natury, a wtłoczonych w indywidualną formę zjawiskową; do ucieleśnienia spraw boskich, które się stały ludzkiemi, ale jako ludzkie, mają przecie aureolę boskości". Bałamutne to, stanowczo już metafizyką *sui generis* tchnące zdanie- jest właściwie kompilacyą wyrazów i nic nam nie tłomaczy. Tak samo nie rozumiemy, skąd autor wysnuł, że dla realizmu jest sztuka symbolem, mianowicie „symbolem wiecznej, wszechwładnej istoty, w której ręku świat spoczywa, a która objawia się prawami natury". Temu sposobowi tłomaczenia zarzucić wypada conajmniej dowolność; my przynajmniej dotychczas nie możemy się dopatrzeć w realizmie *świadomego* odnoszenia zjawisk życiowych do „przyczyny pierwotnej"; prawa natury zajmują go same w sobie, ale do ich syntezy on jeszcze nie doszedł. (D. c. n.)

St. Rossowski.

ZE STUDYÓW HISTORYCZNYCH.

I.

Aleksander Kraushar: „Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego, admirała i wodza Holendrów w Brazylii, starszego nad armatą koronną za Władysława IV i Jana Kazimierza 1592—1656". Petersburg, księgarnia Br. Rymowicza 1893. Tomów II.

Znany autor „Drobiazgów historycznych", „Czarów na dworze Batorego", „Historyi żydów w Polsce" i wielu innych dzieł, posiadających nieoszacowaną wartość, bądź jako studya, wyjaśniające nieznane, lub zawiłe kwestye z przeszłości, p. Aleksander Kraushar, niestrudzony w pracy, jako badacz dziejów, dał nam obecnie wyczerpujące studyum z „Dziejów Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego", wielce ciekawej osobistości, odznaczającej się niebywałą rzutnością, energią i niepośledniem męstwem.

Dotąd Arciszewskiego znaliśmy z podań, opowieści, jako uosobienie bohaterstwa, człowieka wielce oryginalnego, potrosze może awanturnika — z kilku notatek historycznych, skreślonych przez Kalinkę, ks. Albertrandego, F. M. Sobieszczańskiego i wielu innych, jako też z dokumentów, pamieszczonych w pismach peryodycznych, poznaliśmy w Arciszewskim człowieka energicznego, bystrego i przenikliwego obserwatora ludzi i wypadków, dumnego i ambitnego, który nie waha się nawet stawiać swemu monarsze

warunków, od których przyjęcia czyni zawisłą swą pomoc.

Arciszewski jest to człowiek „ognistej fantazyi i rycerskości“ o nader światłym umyśle, „przypominający klasyczne starożytnego świata typy;“ w początkach swej karyery myśli już o sławie wielkiego wodza i bohatera, wszelkiemi zatem siłami, przez całe swe życie, stara się, by jego młodzieńcze marzenia w czyn się zamieniły. Będąc z dziada pradziada szlachcicem, strzeże honoru swego i w obronie jego nurza nawet ręce w krwi nieprzyjaciela, nie pomny na karę, która go spotka za ten czyn; troska się natomiast o to, co potomność o czynie jego sądzić będzie.

Działalność Arciszewskiego przypada na czasy trzech królów ze szwedzkiej dynastyi Wazów — od czasów wypraw inflanckich, aż do smutnego epizodu rokowań pod Zborowem. Działalność zatem jego obejmuje zakres nader rozległy, potrącając nie tylko o sferę krajowych, europejskich, ale nawet wszechświatowych interesów, stykając się z najwybitniejszymi działaczami ówczesnej polityki i wojskowości.

Rycerz ten, „pozostałość z czasów feudalnych“, pchany zbytkiem życia w zawód awanturniczy, zajął wielce Kraushara. Przestudyowawszy to, co już o nim inni napisali, przewertowawszy dokumenty archiwalne, znajdujące się w archiwach: petersburskiem, warszawskiem, poznańskiem, brukselskiem, amsterdamskiem i haskiem, a przez nikogo nie tknięte, zawdzięczając udzieleniu pozwolenia na przejrzenie archiwum w Wilanowie, jako też dostarczeniu materyałów, dotyczących Arciszewskiego: Merzbachowi, Walickiemu, Wład. Korotyńskiemu i wielu innym, którzy przyszli z pomocą, p. Kraushar był w stanie wydać to cenne dzieło historyczne, wyjaśniające ostatecznie stosunek Arciszewskiego do księcia Krzysztofa Radziwiłła, do Holandyi, jego udział w wojnie w Brazylii, jego wygnanie, a wreszcie jego powrót tryumfalny do kraju; jako wielkiego dostojnika, bo „starszego nad armatą koronną“.

Krzysztof Arciszewski herbu Prawdzic syn Eliasza, właściciela Szmigla, (czy Smigla?) i Heleny z Zakrzewskich, właścicielki części Smigla, Kosonowa, Glińska większego i mniejszego, Nietaskowa, Unina i Nowej Wsi, urodzony w 1592 r. we wsi Rogalin nad Wartą, całą młodość swą spędził, jako dworzanin na dworze księcia Krzysztofa Radziwiłła, pana na Birżach i Dubinkach. biorąc czynny udział w wyprawie, podjętej w latach 1621 i 1622, celem obrony Inflant, odzyskania Rygi i Mitawy, zdobytych przez Karola Gustawa. W czasie, gdy Krzysztof, razem z bratem Eliaszem, walczył w Inflantach, Smigel i inne dobra, jako obciążone długami, przeszły w ręce przyjaciela rodziców Krzysztofa, nowo kreowanego szlachcica, palestranta, Kacpra Jaruzalego Brzeźnickiego z tym warunkiem, iż dobra te z czasem odprzeda dawnym dziedzicom, lub ich dzieciom. Po zawarciu rozejmu w Inflantach, młodzi Arciszewscy powrócili do kraju z zamiarem odebrania Smigla, lecz spotkali się z uporem Brzeźnickiego, który licznemi procesami o zapłatę sum, pożyczonych rodzicom, doprowadził ich do nędzy; na domiar wszystkiego, nowy szlachcic, Brzeźnicki, zarzucił ambitnemu Krzysztofowi nieszlachectwo, co dało powód do sprawy sądowej, zakończonej przegraną Brzeźnickiego. Proces ten spotęgował uczucie zemsty w Krzysztofie; zebrawszy zatem najemników, napadł na drodze publicznej Brzeźnickiego i w straszny sposób zamordował.

Napad ten właśnie po raz pierwszy wyjaśnił źródłowo na zasadzie akt grodzkich kościańskich p. Kraushar, dotąd bowiem, jako podanie, rozmaicie był opisywanym. Trybunał skazał Krzysztofa i Eliasza na infamię i banicyę wieczystą. Ognisty temperament i poetycka wyobraźnia zapędziły Krzysztofa, a razem z nim i Eliasza do Holandyi. W Hadze, przy materyalnej pomocy księcia Radziwiłła, uczył się fortyfikacyi i nawigacyi, a do wykazania swych zdolności, pierwszą sposobnością było oblężenie Rochelli przez Richelieugo. Wdanie się Krzysztofa w spisek przeciw Zygmuntowi III, za namową Radziwiłła, który forytował na tron Gastona Orleańskiego, uczyniło pobyt jego w Europie niebezpiecznym, tak, iż uczuł się zmuszonym zapisać w szeregi armii kolonialnej, sankcyonowanej przez Stany Holenderskie, i 1629 r. odpłynął do Brazylii. Tam walcząc z niesłychanem męstwem i poświęceniem, przysparzając Holendrom coraz więcej nabytków, dostąpił wreszcie do godności naczelnego wodza. Marzenia młodzieńcze ziściły się. Był najwyższym wodzem, zyskał sławę i znaczenie, stał się chlubą swego kraju, przekazany potomności pomnikiem, wystawionym na brzegach Brazylii w Pernambuco, i medalem na cześć jego wybitym w Holandyi 1637 r.

Będąc już u szczytu swych marzeń, jakby jeszcze dla powiększenia jego sławy, Władysław IV przebacza mu popełnioną zbrodnię w kraju, wzywając do powrotu. Arciszewski, trawiony tęsknotą do kraju, porzuca wojska holenderskie i dąży na Hagę do kraju. Przybywszy do Hagi, zjednany świetnemi obietnicami, wyrusza na nowe wyprawy. W tym czasie otrzymuje ponowne wezwanie Władysława IV z propozycyami, nader zaszczytnemi. Dręcząca Arciszewskiego troska, skłania go ostatecznie do dania posłuchu królewskiemu rozkazowi. Przybywa do Europy, lecz wycieczki przeciw Aryanom, do których sam należał, i sprawa rakowska, zniechęcają go do kraju, a ujęty na nowo prośbami Holendrów, w charakterze głównego dowódzcy artyleryi, powraca do Brazylii. Tęsknota jednak do kraju, tudzież pewne zatargi, spowodowały, że Krzysztof powrócił do Europy, a w 1646 r., otrzymawszy urząd generała artyleryi, czyli starszego nad armatą, z prawem i obowiązkiem dokonania lustracyi całego rysztunku wojennego i zdania o tem sprawy, ostatecznie powraca do ojczyzny.

Wywiązawszy się chwalebnie z zadania, wkrótce okazał swe zdolności wojskowe, bądź w zawichrzeniach na Ukrainie, bądź jako dowódzca wojsk w obronie Lwowa, pod Zbarażem, a wreszcie Zborowem.

Sterany życiem tułaczem, otrzymawszy pochlebne zaświadczenie Jana Kazimierza wyjechał na Węgry, a następnie pod Gdańsk do swych krewnych, gdzię dokonał burzliwego żywota w 1656 roku.

Ciało jego przewieziono do Leszna, a pomieszczone w miejscowym zborze, oczekiwało pogrzebania na cmentarzu braci czeskich. Podczas jednak zdobycia poszło Leszno w perzynę, a ogarnięty płomieniem zbór braci czeskich, spłonął do szczętu, a z nim i trup Krzysztofa Arciszewskiego.

Takie to są dzieje, taki koniec wielkiego wodza holenderskiego, który dopiero, zyskawszy sławę i znaczenie na obczyźnie, zyskał uznanie w kraju, wybawiając go nieraz swą stanowczością i energią z wielu trudnych przepraw.

Przytoczona treść dzieła dwutomowego nie daje jeszcze dostatecznego wyobrażenia o doniosłości pracy p. Kraushara. Trzeba rzecz samą przeczytać, zgłębić i zbadać, by przekonać się o tym mrówczym niemal trudzie zgromadzenia tak bogatego materyału, usystematyzowania go, ujęcia w całość, aby rzecz sama nie była ciężką w czytaniu, aby stała się miłą rozrywką w wolnych chwilach, z której zawsze jakiś pożytek wyniesie czytający.

Przyznać bowiem trzeba p. Aleksandrowi Krausharowi ten łatwy sposób opowiadania, tę sztukę podawania prac naukowych w formie zajmującej, rozpalającej wyobraźnię czytelnika, przykuwającej uwagę do najdrobniejszych szczegółów. Jest to niemała zaleta. Język bez zarzutu, styl jędrny, zrozumiały; a przedewszystkiem sumienność badań historycznych, obfitość przytoczonych źródeł — oto zalety, które polecają każdemu tę nową historyczną pracę.

W zakończeniu tego sprawozdania, dla ścisłości winniśmy zaznaczyć, że do dzieła dołączone są: portret Krzysztofa Arciszewskiego, rysowany według wizerunku z 1637 r. przez M. E. Andriollego, medal pamiątkowy, wybity w Holandyi 1637 r. na cześć Krzysztofa, plan stoczonej bitwy przez Arciszewskiego 1636 r. w Brazylii, mapa części Brazylii Jana Bleau z herbem „Prawdzic“ Arciszewskiego, a wreszcie plan oblężenia twierdzy Reale, własnoręcznie skreślony przez Arciszewskiego w 1636 roku. *S. Z.*

---

†

Teofil Lenartowicz

ur. w Warszawie 27 lutego 1822 r.
† we Florencyi 3 lutego 1893 r.

W chwili oddawania lutowego zeszytu »Myśli« pod prasę drukarską — zaskoczyła nas wieść przygnębiająca i nad wyraz wszelki smutna.

Telegram z Florencyi doniósł o niespodziewanej śmierci Lirnika Mazowieckiego, który przez całe życie tak wiernie służył Polsce i tyle rzetelnej sławy przysporzył narodowej poezyi i rodzimej sztuce.

Lenartowicz nie żyje! Zaiste, trudno nam w tej chwili, gdy niemal wierzyć trudno, że twórcy »Lirenki« niema już między żyjącymi — zdobyć się na jakąkolwiek charakterystykę pisarza, który wielostrunną lutnią tyle pokoleń czarował, do tylu serdecznych czynów zagrzewał, pragnienia i potrzeby ludu siermięźnego tak odczuć potrafił.

Dziś, kiedy zwłoki Lenartowicza jeszcze nie zastygły nie pora na oceny i nekrologi, — na tem miejscu chcielibyśmy jeno w krótkich słowach oddać hołd i niekłamaną cześć nietylko wielkiemu Lirnikowi lecz i najszlachetniejszemu z ludzi, który umiał do każdego przemówić, każdego w uczciwej pracy poprzeć i zachęcić.

Stali czytelnicy »Myśli« uprzytomnią sobie niezawodnie fakt, że kiedyśmy dwa lata temu rozpoczynali nasze wydawnictwo — pierwszy Teofil Lenartowicz, nie wiedząc nawet w czyich rękach pismo się znajduje, lecz pochwalając jego tendencyę — tak pisał pod naszym adresem w liście do K. Bartoszewicza:

„Niech „Myśl“ nie obcina poezyi skrzydeł, nie krępuje się cenzurą — lepiej, że pismo będzie miało mniej prenumeratorów na początek, niż gdyby miało wielu, a przechodziło warszawską cenzurę.

„Ogólny dziś w Europie duch optymizmu i pesymizmu wpływa i na nas — co nie dziwne — z choroby tej praca jedynie leczy i to nie wyłącznie piórem, bo litera to tylko hieroglif tego, co na dnie się ukrywa, a co wychodzi na jaw czynem.

„Obyśmy już raz porzucili oskarżania się i poniewierania. Poszukajmy celu u przeciwników, a jeśli ostatecznie znajdziemy, że w wielkiej myśli godzą się z nami, traktujmy ich z wyrozumieniem.

„Powiedz pan redaktorom „Myśli“, aby ustanowili rubrykę na zapisywanie czynów szlachetnych, bo te podnoszą i do życia zachęcają..., godność osobista, nie kłanianie się przed żadną powagą, prócz nauki ścisłej, a miłość braci, choćby ci kołki na głowie ciosali, — oto moja wiara...“

Żałujemy, że nie możemy podać w całości listu ś. p. Lirnika Mazowieckiego. Pełno w nim ogólnych uwag

trafnych i ogrom tej miłości, jaką plejada wielkich poetów zostawia w spuściznie narodowi.

List ten ś. p. Teofila Lenartowicza, jako bodziec i zachęta, stanowił dla nas może jedyny jaśniejszy promyk na tle ciężkiej i niewdzięcznej pracy dwuletniej, gorące słowa wielkiego pieśniarza dodały nam wonczas otuchy, były i są niejako dokumentem, żeśmy się dobrej sprawy jęli. W kilka tygodni później nadesłał nam twórca »Bitwy Racławickiej« wspaniały wiersz p. t. »Trzeci Maja« (1891 r.) poświęcony młodzieży warszawskiej, z okazyi stuletniej rocznicy nadania konstytucyi 3 Maja 1791 r. Poemat ten, wydrukowany w 3-im numerze »Myśli« (z r. 1891) wyszedł następnie w oddzielnej odbitce, nakładem K. Bartoszewicza.

Nie dawniej, jak miesiąc temu zazapowiadał Lirnik Mazowiecki, że »z jaskółkami do nas przyleci«. Nie ziści się niestety ta przepowiednia! Duch pieśniarza uleciał zdala od nas, na obczyźnie, ale ciało Jego powinno spocząć na ojczystej ziemi, wśród braci po duchu i piórze.

Słyszeliśmy już o zawiązanym komitecie, który zająć się ma sprowadzeniem zwłok Lirnika do Krakowa (jak inni pragną — do Lwowa) — życzyć tylko należy, aby się komitet rozumnie wziął do rzeczy i wyniknąć mogące przeszkody umiał należycie zwalczyć.

J. B.

ALEKSANDER L. KIELLAND.

ZABAWA LUDU.

NOWELETTA.

Przypadek sprowadził pana i panią Tousseau w pierwszych dniach września do St. Germain - en - Loyn.

Cztery tygodnie temu pobrali się w Loyn, skąd byli rodem. Gdzie się później zatrzymywali — było im zupełnie niewiadomem. Czas minął szybkością strzały, kilka dni przeszło niespostrzeżenie i znów wspominali oboje malutką altankę, w Fontainebleau, gdzie spędzili najmilsze godziny wieczorne.

Paryż był właściwym celem ich podróży poślubnej. Mieszkali bardzo wygodnie w hotelu Garni.

Spokoju i tam nie zaznali, gdyż dokuczał im upał szalony; objeżdżali zatem pobliskie okolice i tak znaleźli się pewnej niedzieli w St. Germain.

„Państwo przyjeżdżacie zapewne, by uczestniczyć w wielkiej zabawie ludowej?“ pytała mała ruchliwa gospodyni hotelu Henry Quatre, wstępując za nimi na schody.

Zabawa? — Nie mieli pojęcia o żadnej innej zabawie, jak tylko o swojej weselnej; o tem jednak z nikim nie rozmawiali.

Dowiedzieli się jednak naprędce, że szczęśliwy przypadek sprowadził ich tu, w dzień ogromnej zabawy ludowej, która co roku odbywała się w pierwszą niedzielę wrześniową, w lasku St. Germain.

Młodą parę bawiło to niezmiernie. Zdawać by się mogło, że szczęście w ślad za nimi postępuje, albo raczej pędzi przed nimi, by im zgotować niespodzianki na każdym kroku. Po wybornym obiedzie, który spożyli we dwoje pod cieniem rozłożystych drzew, w dziwacznym ogrodzie, wsiedli do powozu i pojechali do lasu.

Obok małej fontanny, na środku trawnika ogrodu hotelowego — siedział wielki sęp, którego gospodarz nabył, gwoli rozweselania swych gości.

Silny sznur łączył go z metalowym pieńkiem. Gdy słońce mocno grzało żelazo, wspominał ptak kończyny skał Peruwiańskich i lot swój ponad głębokiemi dolinami — wówczas nie odczuwał więzów. Zrywał się, podnosił skrzydła i uderzał w powietrzu, — skoro zaś sznur ranił mu nogę — upadał na trawnik.

Godzinę całą leżał spokojnie, potem wstawał i spinał się na pieniek.

Gdy głowę swą zwrócił w stronę dwojga tak szczęśliwych ludzi, pani Tousseau głośno się roześmiała na widok melancholijnego wyrazu jego oczu!

Promienie popołudniowego słońca skradały się między liście drzew długiej, prostej alei, ciągnącej się wzdłuż terasy.

Welon młodej kobiety rozwiązał się w czasie szybkiej jazdy, i omotał się wokół głowy pana Tousseau.

Trzeba było długiego czasu na uporządkowanie tualety, przyczem nie obeszło się bez kilkakrotnego przymierzania kapelusza. Następnie p. Tousseau zapalił powoli cygaro; wachlarz pani wirował za każdym razem, gdy płomień zapałki się rozpalał, co powodowało również niezadowolenie młodej kobiety. —

Dystyngowaną i lubiącą spokój angielską rodzinę, która całe lato przebywała w St. Germain, niemile dotknął głośny odgłos kół przejeżdżającego powozu.

Wszyscy podnieśli w górę swoje szaroniebieskie oczęta. Nie było w nich można wyczytać ani gniewu, ani lekceważenia, zaledwie tylko cień zdziwienia.

Sęp gapił się za powozem tak długo, aż tenże zamienił się na końcu prostolinijnej alei, w czarny, malutki punkcik.

„La joyeusse fête des Loyes“ jest prawdziwą zabawą ludu francuskiego, z miodowymi piernikami i gorącymi andrutami. Pod prastarym dębem, który stał na środku miejsca zabawy, zapalono przy zapadającym zmroku, kolorowe latarki i papierowe lampiony, na najwyższe zaś gałęzie spinali się chłopcy, zapalając ognie bengalskie i puszczając małe rakiety.

Dowcipni wpadali na myśl przywiązania latarek do kapeluszy, lasek itd. a ten, który najlepszymi szczycił się pomysłami, przechadzał się ze swoją ukochaną pod wielkim parasolem, na którego spiczastych drutach, wisiały małe lampiony.

Na brzegu lasu płonęły wielkie stosy drzewa; tu pieczono kurczęta na rożnie i smażono tatarki ziemniaczane na smalcu.

Każda woń snać znajduje swoich amatorów, bo i tu stało mnóstwo osób.

Najwięcej jednak ludzi spacerowało wśród szeregów rozstawionych kramów.

Pani i pan Tousseau zakosztowali dzisiaj wszystkich przyjemności.

U pewnego spekulanta, szafującego dwuznacznemi żarcikami, zakupili losy korzystnej loteryi europejskiej; widzieli także „najtłuściejszą gęś na świecie i „złoconą pchłę Bismarka“, która jeździła na sześciu koniach. Następnie pili miodownika, strzelali do miękkich jaj, wreszcie zatańczyli walca w wielkim namiocie baletowym.

Tak świetnie nigdy się jeszcze nie bawili.

Dystyngowanych osób wprawdzie nie spotkali, przynajmniej bardziej dystyngowanych od siebie.

Nie znali tu żywej duszy, uśmiechać się więc mogli do każdego, i kiwali uprzejmie głowami nawet po raz drugi spotykanym osobom.

Wszystko wydawało im się nadzwyczaj wesołem, niezmiernie ich bawił cyrk i balet w wielkim namiocie, zadziwiało wywoływanie „artystów“. Błazny trąbili tam na trąbkach, a młode dziewczęta o kredowo bladych ramionach stały na scenie i wabiły licznych widzów.

Pulares pana Tousseau kurczył się, oboje jednak tolerowali ciągłe natręctwo i zdzierstwo a nawet bawiły ich usilne starania przedsiębiorców, celem wabienia gości i zarobienia pół franka lub paru centimów.

Nagle ujrzeli twarz dobrze sobie znaną. Był to młody, amerykanin, którego spotkali w hotelu paryskim.

„No cóż panie Whitmore! — zawołała pani Tousseau wesoło — wreszcie znalazłeś się i pan w miejscu, pełnem uciech!“

„Ja — odrzekł amerykanin pomaleńku, nie znajduję w tem żadnej przyjemności przypatrywać się jak ludzie nieposiadający pieniędzy błaźnią się dla tych, którzy je mają!“

„A jesteś pan niepoprawnym — zaśmiała się młoda mężatka — zresztą mogę panu tylko powinszować wybornej francuzczyzny.“

Pani Tousseau zdobyła się więcej, niż na komplement, gdyż poważny amerykanin mówił jaknajgorzej po francusku.

Odpowiedź, jaką dał pani Tousseau była nadzwyczaj poprawnie powiedzianą. Możnaby sądzić, że z góry był na nią przygotowany, może zaś pochodziło to ztąd, że zdanie to pani i panu Tousseau głęboko w pamięci utkwiło. (D. c. n.)

Przeł. Ewa Kelmanówna.

KRONIKA.

a) *literacka.*

*** Henryk Sienkiewicz drukuje w „Tyg. Illustr.“ nową powieść, osnutą na tle pierwszych brzasków chrześcijaństwa p. t. „Pójdźmy za nim“. Autor „Bez dogmatu“ kończy również powieść większych rozmiarów p. t. „Rodzina Połanieckich“.

*** Nowe powieści: Sewer drukuje w „Kurj. Warsz.“ powieść p. t. „Nafta“, Ad. Krechowiecki napisał powieść psychologiczną p. t. „Jestem“, Deotyma drukuje w „Biesiadzie“ powieść p. t. „Panienka“, Jordan (Juljan Wieniawski) pisze utwór beletrystyczny większych rozmiarów.

*** Akademia paryska wybrała świeżo dwóch „nieśmiertelnych“, mianowicie: historyka Thureau - Dangin'a i autora tragedyi „Córka Rolanda“ Henryka de Bornier.

*** Kazim. Bartoszewicz obchodził 6 lutego b. r. 25-letni jubileusz swej działalności literackiej. W r. z. zamieściliśmy w „Myśli“ wyczerpującą charakterystykę tego znakomitego pisarza (z portretem), pióra Józefa Bornszteina. Praca ta wyszła w oddzielnej odbitce.

*** Dzieło prof. Karejewa „Zarys historyczny sejmu polskiego“ wydała redakcya „Głosu“ w przekładzie p. Z. Poznańskiego.

Tenże sam uczony napisał „Historyę Europy zachodniej w nowszych czasach“, obejmującą rozwój cywilizacyi europejskiej od wieków średnich do w. XIX. Dzieło to obejmuje około 100 arkuszy druku.

*** Doskonałe studyum psychologiczne Ign. Dąbrowskiego p. t. „Śmierć“, o którem zamieścimy w następnym numerze osobny referat, tłómaczy na język niemiecki Paweł Lindau.

*** Przekłady dzieł Sienkiewicza mnożą się z dniem każdym. Angielski przekład „Pana Wołodyjowskiego“ przez Jeremiasza Curtinę ukazał się w Nowym-Jorku, powieść „Ogniem i mieczem“ (Mit Feuer und Schwert) wyszła w nowem 2 tomowem wydaniu u Rumbauera w Berlinie, w tłóm. p. Hillebranda, wreszcie francuski przekład „Janka Muzykanta“ ogłosiła „Autorite“.

b) artystyczna.

*** Teatr krakowski wystawił na benefis p. Siemaszki Molierowską komedyę p. t. „Szkoła kobiet“ i obrazek Verhlickiego „Nad przepaścią“. Na dochód p. Sobiesława grano „Kobiety z kamienia“ Barriera, w dalszym ciągu zapowiada repertuar benefisowy: „Jakóba Warkę“ dramat D. Zglińskiego, odznaczony na konkursie warszawskim, komedyę R. Ruszkowskiego „Już go mam!“, Molierowskiego: „Chorego z urojenia“, Chmurki: „Szwedzką zapałkę“ i sztukę ukrywającego się pod pseudonimem Żegoty Krzywdzica autora, podobno bardzo dobrą, p. t. „Zdrowi i pokaleczeni“.

*** Teatr hr. Skarbka we Lwowie wystawił z powodzeniem komedye: St. Graybnera p. t. „Fredzio“ i Z. Przybylskiego p. t. „Wejście w świat“.

*** Teatr Rozmaitości w Warszawie wystawił „Safonę“ Daudeta w przekładzie G. Zapolskiej.

*** Na scenie krakowskiej debiutowała dwukrotnie (w „Pierwiosnkach“ Ujejskiego i „Pierwszym balu“ Przybylskiego) panna Melanja Wachtel. Młoda debiutantka posiada warunki zewnętrzne, ładny, choć nie wyrobiony jeszcze w górnych rejestrach głos i wiele zapału, co razem wziąwszy złożyło się na sympatyczną całość i uprawnia do nadziei, że p. W, stawiająca dziś pierwsze kroki sceniczne, wyrobi się pod umiejętnem kierownictwem na dobrą artystkę.

*** Heimat (Strony rodzinne) najnowszy dramat H. Sudermana wystawiono w berlińskim teatrze Lessinga. Rzecz twórcy „Honoru“ osnutą jest na tle walki dwóch światów, a raczej dwóch prądów: starego, idealnego z nowym, który charakteryzuje wybujała indywidualność. Bohaterką dramatu jest kobieta.

*** Pierwszą nagrodę na konkursie dramatów ruskich otrzymała p. Nadzieja Kibalczycowa za utwór pt.: „Kataryna Czajkiwna“, drugą, K. Wańczenko za utwór pt: „Mużyczka“, trzecią zaś Iw. Franko za utwór pt: „Ukradene szczastie“.

*** Na konkursie rzeźbiarskim w Warszawie przyznano nagrody: p. Leonowi Wiśniewskiemu (za rzeźbę z terakoty pt: „Z pomocą brata“) i Tolli Certowiczowej, (za rzeźbę z bronzu.) List pochwalny otrzymał p. L. Wasilkowski za rzeźbę z gipsu pt: „Topielec“.

*** Obrazy Milleta dochodzą obecnie do cen bajecznych. Niejaki p. Chauchort nabył „Pasterkę“ słynnego malarza z galeryi Van Praeta w Brukseli za 700.000 franków,

*** Nasi artyści wykończają obrazy, któremi obesłany zostanie oddział sztuki polskiej na tegorocznej wystawie w Chicago. Między innymi wystawcami figurują: Siemiradzki, Podkowiński, Żmurko, Gerson, Pruszkowski.

*** Obraz J. Fałata, przedstawiający „Cesarza Wilhelma polującego na niedźwiedzie“ nabyła gmina m. Berlina.

*** Wł. Czachórski, artysta-malarz, mianowany został kawalerem orderu zasługi św. Michała za urządzenie wystawy sztuki w Monachjum.

*** Artyści malarze: Krudowski i W. Pruszkowski otwierają pracownie w Krakowie, Jacek Malczewski zaś przenosi się na stałe do Monachjum.

*** Znany rzeźbiarz St. Lewandowski wydaje we Lwowie organ, poświęcony sztuce plastycznej pt: „Nasza sztuka“.

Nekrologia.

† Ludwik Marek, znakomity muzyk i kierownik znanej szkoły muzycznej, zmarł we Lwowie.

Śp. Marek urodził się w r. 1837. Początków muzyki udzielali mu Hellebrand i Mikuli. Na dokończenie studjów udał się Marek do Liszta, który wysoko go cenił. Następnie wraz z Hansem Bülowem udał się w podróż artystyczną. Osiedliwszy się we Lwowie — otworzył Marek szkołę muzyczną, która wkrótce zasłynęła, jako jedna z najlepszych w kraju.

† Albert Delpit, głośny powieściopisarz francuski, zmarł w Paryżu. Po wojnie r. 1870 wyszły dwa tomy poezyj Delpita: L'invasion i Les Dieux quon brise. Nazwisko jego nabrało wielkiego rozgłosu w r. 1880, gdy teatr *Gymnase* wystawił przerobioną z powieści komedyę Delpita pt: „Le fils de Corelie“. Zmarły hołdował zasadom estetycznym Dumasa (ojca).

† Don Jozé Zorilla y Morel, znakomity poeta hiszpański, zmarł w Madrycie. Urodził się 21 lutego 1817 r. w Valladolid. W r. 1837 ukazał się pierwszy zbiór jego poezyj, potem dwa następne tomy w r. 1839 i 1841, prócz tego napisał wiele dramatów. W r. 1885 został Zorilla członkiem Akademji, a w dniu 22 czerwca 1889 powołano go na zaszczytne stanowisko poety nadwornego..

† Leon ks. Sapieha, syn ks. Adama, zmarł w Bilczu.

† Daniel Spitzer, głośny fejletonista, zmarł pod Wiedniem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Polaninowi. „Gałązka Jemioły“ świadczy niewątpliwie o talencie poetyckim, forma jednak wiersza pozostawia jeszcze wiele do życzenia. „Gałązki“ dla tych właśnie usterek formy nie zamieścimy, acz zachęcamy Pana do pracy w kierunku usunięcia wskazanych braków. Jeszcze jedno; brak odpowiedniej formy uzewnętrznia się również w sposobie korespondencyi Sz. Pana.

P. Anieli Tyl... Radzimy Pani szczerze wierszy nie pisywać, lepiej natomiast i pożyteczniej będzie wczytywać się w autorów; wówczas wiedziałaby Pani, że „Tyrteusza“ napisał nie kto inny tylko Anczyc. Prosiła Pani o radę — służymy więc nią.

P. Anton. Flisakowi. Nie mieszamy się do polemik. Niech się Pan zwróci do redakcyi pisma, które pomieściło ów fejleton.

Treść „Myśli“:

PRZEGLĄD EMIGRACYJNY

DWUTYGODNIK EKONOMICZNO-SPOŁECZNY

wychodzący każdego 1-go i 15-go.

Poświęcony jest sprawie ruchu wychodźczego polskiego dochodzącego rocznie już rozmiaru 60.000 ludzi; przedstawia żywotną sprawę emigracyjno-kolonizacyjną polską w jej najnowszym rozwoju.

Prenumerata z przesyłką wynosi:

rocznie . . . . 4 złr. (4 rs. = 8 marek = 8 szylingów = 10 franków = 2 dolary)
półrocznie . . . . 2 złr. (2 rs. = 4 marki = 4 szylingi = 5 franków = 1 dolar)
kwartalnie . . . . 1 złr. 10 ct. — Pod kopertą o 1/3 drożej.
Cena pojedynczego numeru 20 centów. w. a.

Sprzedaż pojedynczych numerów i prenumerata we Lwowie w biurze dzienników ul. Karola Ludwika, we wszystkich księgarniach lub wprost w administracyi „Przeglądu Emigracyjnego“ Lwów, Ossolińskich 11, w Krakowie w księgarniach.

Z drukarni Aleksandra Słomskiego i Sp. w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Bornsztein.